



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

PRZEKRÓJ

31-012 Kraków, ul. Reformacka 3

wydanie

1569 z dn. 4-05-1975

KURIER WARSZAWSKI

Rok IX. Nr 4

Kwiecień 1975

Dziesięć dni, które wstrząsnęły Warszawą • Galowy koncert — taki jak trzeba • Sztuka odtwórcza, to także sztuka! • Jak można było w ogóle wystawić „Białe małżeństwo”? • Filharmonia i rzeźnia — obie w najlepszym gatunku • Co wystawił pan Szymon?

W ciągu dziesięciu dni przez Warszawę przewinęło się tyle znakomitości w dziedzinie baletu, opery, muzyki, teatru, estrady, plastyki, ile niejednokrotnie nie oglądaliśmy w ciągu całego sezonu; **Dni Kultury Radzieckiej** zgromadziły w stolicy wspaniałych artystów, od moskiewskiego MChAT-u, po leningradzki Balet im. Kirowa, od solistów słynnego Teatru Wielkiego — po wystawę malarstwa (z szeregiem znanych dzieł Gierasimowa i in.), od leningradzkiego Teatru Lalek po laureata Sopotu, Edwarda Chila...

Było to naprawdę dziesięć dni, które wstrząsnęły życiem kulturalnym stolicy. Nie sposób w jednej relacji omówić wszystko, co działo się w tym czasie na warszawskich scenach i estradach, chciałbym zwrócić szczególną uwagę na otwierający **Dni Kultury Radzieckiej koncert galowy w Teatrze Wielkim**. Wydaje mi się, że atrakcyjność i jednoczesna ranga artystyczna galowego spektaklu powinna stać się wzorem dla podobnych imprez organizowanych często — lecz jakże inaczej — u nas.

Nasze tradycyjne „inscenizacje” operujące patetycznym materiałem filmowym, poezją nie przemawiającą w takim kontekście do nikogo, pseudozangażowane piosenki i sympatyczne, lecz amatorskie balety dzieciaków — wszystko to obnażyło nagle swoją miłość, wobec sztuki przez wielkie S, jaką obejrzelśmy na radzieckim koncercie galowym. Nie było tu męczącego nadmiaru inwencji realizatorskiej, po prostu — wspaniali śpiewacy, doskonały skrzypek, olśniewający taniec, scenki folklorystyczne, ale w wykonaniu artystów klasy naszego „Mazowsza”... To było coś! To było to, co naprawdę reprezentuje kulturę narodu!

I jeszcze druga sprawa. Panuje u nas przekonanie, że na imprezach tego typu znaleźć się mogą utwory wyłącznie własnych kompozytorów czy autorów. Zapomina-

my, że reprezentować kraj może równie dobrze — niekiedy nawet lepiej — sztuka odtwórcza, ta zaś powinna okazać się w dziełach najlepiej, najsilniej ją eksponujących.

Rozumiał to doskonale scenarzysta radzieckiego spektaklu, dzięki czemu np. Tamara Miłaszkińska i Władimir Atlantow (cóż to za wspaniały tenor!) śpiewali duet z Toski, Elena Obraczowa arię księżniczki Eboli z *Don Carlosa*, a cudowne dziecko radzieckiego baletu, zjawiskowa młodzieńka tancerka Nadieżda Pawłowa (nomen omen) tańczyła wraz ze swym partnerem *pas de deux* z Coppelli Delibesa. Każdy to, w czym wypadnie najlepiej — arcyciśna zasada!

Czyli — oprócz przeżyć artystycznych, dostarczył ów koncert także materiału porównawczego, dał nam nieco do myślenia i mam nadzieję, że kto powinien, ten przeżył go dokładnie, po czym — wyciągnie wnioski. Bardzo proszę!

Dni Kultury Radzieckiej już poza nami; to mocne uderzenie artystyczne trwało jedynie dziesięć dni, lecz na szczęście, wydaje się, że artystyczna passa stolicy na tym się nie skończyła. Oto za kilka dni — występ słynnej paryskiej *Comedie Francaise*, oto w połowie maja **Międzynarodowe Targi Książki**, oto w ostatnim dniu maja „głos stulecia” — **Birgit Nilsson** w *Tosce*, potem — już z innej beczki — **Eartha Kitt** i **Sacha Distel**, wreszcie... **Teatr Narodów!** Im dalej w sezon, tym więcej atrakcji.

Zresztą, także jeśli idzie o lokalne, warszawskie spektakle, jest wydarzeń sporo. Żeby chociaż w części za nimi nadążyć, pobiegłem przynajmniej zająrzeć do dwóch teatrów: w Małym obejrzałem dla Was **Białe małżeństwo**, w Dramatycznym — **Rzeźnię**.

Przypomniał mi się pobyt w USA sprzed lat kilkunastu, w okresie, gdy reklamowano tam premierę *Lolity* — film Kubricka według skandalizującej

(jak na ówczesne kryteria) książki Nabokova. Reklamowano ją rozlepionym wszędzie hasłem-pytaniem (jakie zresztą zadawało sobie wówczas pół Ameryki): *Jak można było w ogóle nakręcić film z Lolity?* Poszedłem później do kina i stwierdziłem, że można było — skreślając i tuszując wszystko to, co w książce może i ujdzie, na ekranie natomiast mogłoby szokować aż nazbyt.

Przypomniało mi się to, gdy przeczytałem **Białe małżeństwo** w „Dialogu”, a potem usłyszałem, iż weszło w próby w Teatrze Małym. Jak można w ogóle wystawić u nas **Białe małżeństwo**? — zaprętywałem sam siebie, jak zrealizować na scenie śmiałość a jednoznaczne didaskalia **Różewicza**. Choćby to: *Bianka przyklepa u nóg staruszka i przyciska głowę do jego kolan... nagle widzi... sukno spodni podnosi się, jakby coś chciało się przebić, pęka i powoli wyrasta biały członek podobny do grzyba sromotnika... nikt poza Bianką tego nie widzi... Bianka patrzy na rosnący trzon i bez słowa oddala się. Dziadek patrzy za nią zdziwiony itd. itd. Jest tych „trzonów” sporo. Co parenaście kwestii.*

Nie na scenie, naturalnie. Skreślono je, czy raczej ukryto, co ciekawe jednak, sztuka — jej erotyczny klimat, jej nieco kpiący stosunek do teatralnych konwencji — wcale na tym wiele nie utraciła. Obronił się dialog — zabawny, błyskotliwy, obroniły się nawet zubożone o wizualne rozerotyzowanie sytuacje. Doszło do tego, że i pannenka, co to snuje się na golasa z tyłu sceny wydaje się wreszcie zbędną; nie z tej sztuki... Reżyserował **Małżeństwo Tadeusz Minc**, gwiazdą spektaklu jest — bliżej mi niestety nie znana — **Barbara Sułkowska** jako Paulina. To zapowiedź aktorki charakterystycznej dużego formatu!

Aktorzy już dużego formatu spotkali się natomiast w **Rzeźni Mrożka**, zaadaptowanej i wyreżyserowanej przez **Jerzego Jarockiego** w Teatrze Dramatycznym. Zaadaptowanej, jako że **Rzeźnia** pomyślana została na słuchowisko radiowe.

Zapewne z kompleksem słuchowiska przystępując do pracy, Jarocki rozsalał się inscenizacyjnie. Czegoż tu nie ma na scenie: od pełnej orkiestry symfonicznej z organami — po pełne instrumentarium dobrze zaopatrzonej rzeźni plus dwa worki noży; orgia plejbeków i przesadzanie na inne miejsce paru rzędów widowni; kawał świeżej, najprawdziwszej wątroby ciętej i nieźle piersi niemal że na wierzchu...

Spod takiego nawału pomysłów wydestała się mogą jedynie znakomici aktorzy. Na szczęście — są znakomici! **Gustaw Holoubek** ze skrzypcami w pierwszym akcie i z nożem w ręku, w drugim **Andrzej Szczepkowski** — dyrektor filharmonii, który zostaje dy-

rektorem rzeźni, dorabiając do zabijania ideologię, bo to nic nie kosztuje a zyski daje duże, **Zbigniew Zapasiewicz** — cyniczny Paganini i żarliwy rzeźnik, **Janina Traczykówna** — rozkoszna flecistka i **Wanda Łuczycka** — zaborcza mama. Same asy!

W rezultacie powstał więc spektakl doskonały pod każdym względem, znaczący w naszym życiu kulturalnym. A jeśli spytacie — o czym właściwie **Rzeźnia** traktuje, nie odpowiem. Bo wydaje mi się, że interpretacji tekstu, odczytań tekstu może tu być wiele; każdy chyba, jeśli pomyśli przez chwilę, będzie mógł podłożyć pod tekst **Mrożka** własny podtekst i — to chyba dobrze. Dodam tylko, że niewiele znam sztuk tak zabawnych i — jednocześnie tak gorzkich. To znowu **Mrozek** jak za najlepszych lat, jak z najlepszych sztuk.

Nawiasem: program teatralny przypomniał coś, o czym byłbym już niemal zapomniał: to właśnie w **Przekroju** wydrukował **Mrozek** pierwszy swój tekst: „**Młode miasto**” — reportaż produkcyjny o Nowej Hucie... Co prawda, z programu wynika, że ów tekst wydrukował mając lat czternaście, lecz to już mniejsza prawda. **Mrozek** nie **Greta Garbo**, można mu wypomnieć, iż musiał już wtedy mieć ze dwudziestą, chociaż tak na pewno — to wiedziałyby to jedynie **Kobyliński**, bo **Kobyliński** wie wszystko.

W ruchliwym i sympatycznym klubie MPiK na Woli, w jego nieoczekiwanie modnej „**Galerii Wola**”, **Kobyliński** wystawił ostatnio kilkaset swych rysunków — dzieło dużego talentu i nie mniejszej wiedzy.

W katalogu wystawy, **Eryk Lipiński**, zabawnie pisze: *Ile razy nie mogę znaleźć w swojej niewąskiej bibliotece, jak miała na imię babka Byrona, jakie pończochy nosiła Barbara Radziwiłłówna, co jadła na deser Ramzes XII, dlaczego Kazimierz Odnowiciel... itp.* to natychmiast dzwonię do Szymona i błyskawicznie otrzymuję odpowiedź. Dobry lub zły, ale zawsze prawdziwy.

A poza wiedzą i talentem jest jeszcze coś więcej w tych rysunkach: ogromna, niespożyta pomysłowość. **Kobyliński** ma tysiące pomysłów: na grafikę, na dowcipy, na satyrę, nawet na ilustracje do książki o matematyce wyższej. Co prawda pomaga mu rodzina; jeśli w rogu rysunczku znajduje się mała kropka, oznacza to, że pomysł wyszedł od żony, jeśli litera „m”, to od syna Michała. Jeśli jednak — jak najczęściej — „znaków szczególnych brak”, to znaczy, że wymyślił, narysował i wydrukował lub wystawił sam **Szymon Kobyliński**, który — znowu cytuję **Lipińskiego** — *waży 112 kg, czyli tyle, ile przeciętnie dwóch grafików lub dwie i pół tancerki, a na cześć Pana Boga nosi ogromne brodzisko*.

Portret słowem malowany — idealny. Taki, jaki tylko grafik grafikowi wymalować potrafi; ja bym tak nie umiał.

LUCJAN KYDRYŃSKI